

ANDRZEJ  
MULARCZYK

SAMI SWOI



INSPIRACJA DLA KULTOWEJ KOMEDII

ANDRZEJ  
MULARCZYK

# SAMI SWOI

INSPIRACJA DLA KULTOWEJ KOMEDII

Andrzej Mularczyk

# Sami swoi

Saga

*Sami swoi*

Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 1993, 2021 Andrzej Mularczyk i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726878707

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów  
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą  
Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)  
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

# 1

Ta opowieść to komedia, której bohaterowie wcale nie wiedzą, że są śmieszni. Nie wiedzą, bo nie dotarła do ich świadomości definicja, że tragedia, która trwa zbyt długo, staje się komedią, i że wystarczy spojrzeć przez odwrotną stronę lornetki, by to, co wielkie, stało się małe. Wówczas nawet wymachujący mieczem biblijny Goliat przypomina pajaca na sznurku...

Przyjrzyjmy się więc bohaterom tej komedii, zanim nieuchronnie zaczną się toczyć wypadki, których już powstrzymać nie można, jak nie można namówić bohaterów gotowego filmu, by inaczej zagrali swoje role.

Kaźmierz Pawlak uważał, że żyje nie tylko na ziemi, ale i dla ziemi, i chyba dlatego od tej ziemi zbytnio nie odrósł. Złośliwi się śmiali, że nie musiał się schylać, żeby przejść pod brzuchem konia. Był przysadzisty jak sąg dREW, za to twardy jak kowadło w kuźni: uderzysz w niego młotkiem, a on odskoczy. Póki nowych gwoździ dwucalowych nie można było dostać w GS-ie, Kaźmierz stare prostował na paznokciu. Szybki był w języku, z każdym gotów się dogadać, byle tylko ten ktoś nie miał innego zdania niż on. W skrytości uważał, że Pan Bóg po to jest w niebie, żeby on, Kaźmierz, miał tam sojusznika, bo przecież jak ktoś tak niepozornego wzrostu, a za to z przeogromnym zaufaniem zwraca się do najwyższej instancji — to jak mu odmówić pomocy i nie zesłać plag na jego wrogów?

Gdy stawał przy płocie naprzeciw Kargula, to on był na pozór łagodnym pasterzem Dawidem, co to nawet słynnej procy przez zapomnienie nie ma przy sobie — tamten zaś

potężnym Goliatem, który co postawi stopę, to rozgniata przeciwników...

Władysław Kargul nie szedł, tylko kroczył, nie mówił, tylko dudnił jak listopadowy deszcz w zardzewiałej rynnie. Gdy wycierał nos, to chustka omal nie pękała na pół. Weterynarz Jaskółka nie mógł się nadziwić, jak taki niespotykane spokojny w ruchach człowiek jednym uderzeniem pięści powala na ziemię bukata. Gdy Kargul nie miał pod ręką klucza ani obcęgow, potrafił zębami odkręcić mutrę przy sieczkarni, a jak go nawet po tym wyczynie szczęki trochę bolały, wystarczyło mu wypić do snu pół litra brymuchy i budził się zdrowy jak własny trzonowy ząb. Póki elektryki po wojnie w Rudnikach nie było, jednym dmuchnięciem gasił stojącą na stole naftową lampę, nie ruszając się spod pieca.

Jeden był szybki jak lot jaskółki, drugi powolny jak żuk.

Pawlak kochał konie jak własne dzieci i ożenił się z Marynią, gdyż jej ojciec miał dwa konie i jednego obiecał córce w posagu.

Kargul ożenił się ze swoją Anielcią, bo poborowym jeszcze będąc, założył się z innymi parobkami, że ją podniesie jedną ręką do powały. Zakład wygrał, bo podniósł Anielcię z takim impetem, że ta wyrznęła głowę w sufit i zemdląca, a Władysław, cucąc ją potem, tak ją długo w ramionach trzymał, że się od żeniaczki wymigać nie mógł...

O Pawlaku wszyscy mówili, że prędzej mówi, niż myśli.

O Kargulu, że myśli wolniej od konia. Ale czy to właściwie wiadomo, jak i co myśli sobie koń?

Pawlak nosił maciejówkę, bo kiedyś podobną czapkę nosił Józef Piłsudski. Dla niego Marszałek to wzór: mało że dokonał w 1920 roku cudu nad Wisłą, to jeszcze był to jedyny człowiek, po którego śmierci ojciec Kaźmierza zapłakał.

Kargul nosił obwisły kapelusz i nigdy nie wkładał krawata, bo tak mu się utrwalił w pamięci Wincenty Witos.

Pawlak — to drożdże. Kargul — to mąka. A piec chlebowy jeden.

Życie staje się komedią, gdy dwóch ludzi, którzy nie powinni się spotkać, nie może uniknąć spotkania. A tu jeszcze — na domiar złego — miał się zjawić ktoś trzeci, kto nie spodziewał się wcale, że weźmie udział w tej komedii.

Kiedy wybierasz się na spotkanie kogoś, kogo nie widziałeś tyle lat, że przez ten czas i rączy żreback zdążyłby zmienić się w starą chabetę, a może nawet i zdechnąć, musisz się liczyć z tym, że wychodzisz wprost na skrzyżowanie, gdzie przecinają się dwa losy. Bo po takim czasie już nie z samym człowiekiem tylko się spotkasz, a właśnie z jego losem, zwanym przez niektórych dolą. Tak więc spotkanie dwóch kiedyś bliskich sobie ludzi przypomina niekiedy skrzyżowanie dwóch dróg, a chyba nie trzeba nikomu tłumaczyć, jak niebezpieczne są wszelkie skrzyżowania.

Szykujesz się na takie spotkanie radosny, niczym gość zaproszony na cudze wesele, a raptem okazuje się, że ta radosna okazja zmienia się w coś na kształt stypy.

Kaźmierz już od kilku tygodni szykował się na ten dzień. Obejście wyporządził, oborę wybielił, bramę żelazną kazał Pawłowi na zielono pomalować. Nawet lepy na muchy pozawieszał przy każdej lampie, żeby tylko oczekiwanemu gościowi zapewnić jak najbardziej cywilizowane warunki, odpowiadające amerykańskiemu standardowi. Dwa razy wybierał się do Lutomyśla, żeby sobie odpowiednio uroczysty garnitur sprawić i na wszystkie okna nowe firanki dobrać; Marynię zmusił, żeby wprawiła sobie cztery brakujące zęby, bo jakby przyszło jej się uśmiechnąć na powitanie Johna, to nie będzie musiała ust dłonią osłaniać. Niby wszystko było przygotowane na ten ważny dzień, a

jednak im bliżej była ta data, tym bardziej Kaźmierz zamiast radości odczuwał jakiś niepokój. Kiedy od stacyjki w Rudnikach dobiegł go czasem przeciągły gwizd pociągu, którym niebawem miał przybyć gość, Pawlak odruchowo popatrywał na dom sąsiada i wzdychał ciężko, jakby przywalił go młyński kamień. Jednak przed nikim, nawet przed swoją Marynią, nie zdradził tego niepokoju, co ściskał mu wątrobę i nerwy napinał do tego stopnia, że w przeddzień przyjazdu gościa musiał na noc odmierzyć dwadzieścia kropli waleriany i popić to setką „strażackiej” z czerwoną kartką, by nie myśleć w kółko o tym, czy człowiek odpowiada za historię, czy też odwrotnie — historia za człowieka. Bo wszak i miejsce, w którym przyszło mu żyć, i ludzie, wśród których toczyło się życie, wybrane zostało wyrokiem historii. Ale czy ten, którego powita po tak wielu latach, zrozumie, że można wybrać sobie żonę, można wybrać konia, a nawet samego Pana Boga, ale nie wybiera się czasów, w których przyszło nam żyć?

Kiedy wreszcie nadszedł ten dzień, w którym miał przybyć dawno zapowiadany gość z Ameryki, Pawlak zaraz po obudzeniu ukląkł przy łóżku i złożywszy dłonie w stronę obrazu Świętej Rodziny, wyszeptał błagalnie, zaciągając śpiwnie: „Dobry Boże, spraw, żeb’ Jaśko mnie za zdrajcę nie uważał, taż ja przecie nie żaden pierekiniec, tylko prosto bezlitosna ofiara Stalina, Roosevelta i Churchilla, co mnie nasze Krużewniki na poniemiecką wioskę zamienić kazali. A że ja z tym hardabasem Kargulem w sąsiedztwo popadł, to już chyba z Twojej woli, bom się dzięki temu w porę dowiedział, że kto chce drugiemu muchomora zadać, sam on tym jadem zatruty będzie. I spraw, dobry Panie Boże, żeb’ brat mój, Jaśko, ode mnie głupszy politycznie nie okazał się”...

— A cóż ty, choreńki, czy jak? — krzyczy Marynia, widząc Kaźmierza klęczącego przy łóżku w długiej koszuli.

— Człek w niebie poratowania szuka, a ta koczerbicha naprzykrza sia — ofuknął żonę Pawlak.

— Taż on przed tym obrazem ostatni raz klęczał, jak nam ta jakaś zaraza parsiuki wytłukła. A czegoż on dzisiaj Panu Bogu głowę durzy, a?

Patrzy na niego podejrzliwie, zachodząc z boku. Kaźmierz ma minę uczeniaka, przyłapanego na zrywaniu jabłek w sadzie przy plebanii.

— A cóż jej oczy tak dęba stanęli, a? — zaatakował Marynię z impetem. — Mam ja swoje sprawy z niebem do załatwienia. Ty się o skacinę martw. Krowy podoiła? Tak niech odzienie na sobie poładzi, bo czas nam na stację zbierać sia!

Marynia cofa się do kuchni, gdzie piętnastoletni Paweł, pogwizdując przez zęby, usiłuje naprawić stary radioodbiornik „Telefunken”. Wciska głębiej w gniazdko zakurzoną lampę i nagle kuchnię zalewają monotonne jak kapanie jesiennej deszczu deklaracje Władysława Gomułki, przemawiającego z okazji święta 22 Lipca. Mówca, mlaskając, rozpoczął właśnie zdanie, że trud i historyczny wysiłek przodującej siły narodu przyniósł naszemu społeczeństwu pokój i dobrobyt, kiedy Marynia jednym szarpnięciem wyrwa z gniazdka sznur od radia, urywając w pół słowa wywód o wyższości demokracji ludowej nad ustrojem bezlitosnego wyzysku. Widzi zaskoczone spojrzenie syna.

— Tato, nie daj Bóg, nerwowy dziś taki, że tylko z oczu uciekać, a ty mu jeszcze Gomułkę puszczasz? — wskazuje na drzwi, za którymi ubiera się Kaźmierz. — Zapomniał, że on jak jego słyszy, to czkawki dostaje, jakby zbuka połknął?

— Ale tato się martwił, że jak stryjko przyjedzie, to my marnie bez radia wypadniemy w jego oczach — wyjaśnia

Paweł, przejęty wizytą gościa z Ameryki, którego nigdy na oczy nie widział.

Marynia wzrusza ramionami i oglądając się za siebie na drzwi od izby, mówi z przejęciem:

— Co tam radio. Gorzej, że my przez tego Kargula bezlitośnie przepaść możemy.

Patrzy przez okno kuchni na podwórze sąsiadów. Właśnie w tej chwili zwałisty Kargul w białej koszuli posypuje je z wiadra żółciutkim piaskiem, jakby szykując się na Zielone Świątki, a nie na wizytę swego śmiertelnego wroga.

— To ojciec nic nie napisał stryjowi o Kargulach?

— Taż czy on durny, czy jak? — Marynia wzrusza ramionami nad naiwnością syna. Paweł kręci głową, jakby nie mogąc się pogodzić z tym, że nie tylko radio kłamie, ale także i własna rodzina.

— Znaczy, że stryjo prawdy nie zna. A komu nie mówi się prawdy, tego się okłamuje!

— Ot, filozof, co ledwo koszulę z zębów wypuścił. Jakie to kłamstwo! — Marynia chcąc nie chcąc musi bronić taktycznej koncepcji i moralnej postawy ojca rodziny. — Taż to tylko dyplomacja. Przyjdzie pora, wszystkiego Jaśku dowie się.

Mówiąc te uspokajające słowa, Marynia równocześnie odwraca się od syna i czyni na wszelki wypadek ukradkiem na piersiach znak krzyża, bo nie wiadomo, co przyniesie to spotkanie. Zrobili wszystko, co można, żeby godnie przyjąć gościa: Kaźmierz brymuchy napędził, na wszelki wypadek Witia państwowej wódki dokupił, Jadźka u fryzjera w mieście była, a Ania, na której chrzciny zaprosili gościa, dostała poduszkę z zagranicznymi koronkami. Ale bywa i tak, że orkiestra gra weselnego marsza, a do ślubu nie dochodzi...

Podchodzi Marynia do lustra i sprawdza, jak ona sama w tym dniu wygląda: zęby ma nowe, ale i zmarszczki nowe.

Ciekawe, czy ją sobie przypomni starszy brat męża. Raz z nią nawet kiedyś tańczył na weselu córki organisty. Jeszcze raz unosi wargi i sprawdza swoje nowe zęby. No cóż, nawet jakby gość pogniewał się i wyjechał—to zęby zostaną. Kiedy tak się delektuje swoją inwestycją, dostrzega zatknięte za lustro kolorowe pocztówki z Ameryki.

— Paweł, leć po Budzyńskiego, niech taksówkę szykuje!

— Marynia rzuca polecenie, nerwowo zerkając na jeszcze poniemiecki budzik.

— A po co samochód, jak na stację dziesięć minut!

— Ot, durny! Taż on z Ameryki i musi wiedzieć, że my sroce spod ogona nie wypadli.

## 2

Życie to nie symfonia, którą możesz odegrać z nut i nawet ani o jeden ton się nie pomylić.

Kaźmierz, niczym wielki dyrygent, postanowił odbyć próbę sceny, do której musiało niebawem dojść. Ubrany już w swój odświętny, granatowy garnitur, z kapeluszem w rękę zdecydowanym krokiem przeszedł na sąsiednie podwórze. Nie zdążył nawet zapukać w okno domu Kargula, a ten już stanął w drzwiach, jakby tkwił za nimi, oczekując wezwania. Czekало ich wspólne zadanie, choć każdy miał wystąpić w innej roli.

Ogromny, zwalisty Kargul patrzy teraz w dół na twarz Kaźmierza, oczekując ostatnich instrukcji. Nie raz już omówili szczegóły, ale Pawlak chce mieć absolutną pewność, że jakiś nieopatrzny krok sąsiada nie utrudni sytuacji.

Muska wąsy, rozgląda się naokoło, jakby sprawdzał, czy wszystkie rekwizyty są należycie przygotowane do sceny konfrontacji, do której musiało nieuchronnie dojść.

— Władyś, jak my taksówką ze stacji przyjeździem, tak ty nawet i nosa na podwórze nie wyściubiaj, póki ja znaku tobie nie dam — mówi konspiracyjnym szeptem, patrząc równocześnie z dezaprobatą na brak krawata przy kołnierzyku Kargula.

— A krawatka u ciebie gdzie? — pyta z wyraźną pretensją w głosie, a oczkami mruga, jakby gołą babę w kąpieli zobaczył. — To niepolitycznie!

— Taż ty dobrze wiesz, że kawaleryjski koń chomąta nie lubiący — tłumaczy się śpiewnie Kargul. — Jak ja na wybory

bez krawata chodził, tak i dziś mogę być.

— Ot, bambaryła z ciebie! — niecierpliwi się Kaźmierz i przestępuje z nogi na nogę, jak ogier rwący się do galopu. — Wybory i bez ciebie zawsze były wygrane, a dzisiejszy dzień różnie może zakończyć się. Załóż krawatkę, boś nie Witos!

— Ot tobie na! Myśli, że jak wąsy zapuścił, to on rozkazywać może jak Piłsudski — mruczy niechętnie Kargul i rozpina kołnierzyk koszuli. — Jak ja na weselu naszych dzieci bez tego postronka na szyi był, to chyba ostatnia okazja dla mnie jego założyć do trumny będzie.

Kaźmierz zerka na niego spod oka, jakby brał w tej chwili miarę na tę trumnę, o której tak nie w porę wspomniał Kargul.

— Aj, Bożeńciu, żeb' ty w złą godzinę nie powiedział, bo jak mój Jaśko przy swoim charakterze ostał się, to może i pogrzebem skończyć się!

— Myślisz, Kaźmierz, że jego serce spotkania z tobą nie wytrzyma? — Kargul całkiem opacznie zrozumiał intencję Pawlaka.

— Ot, murmyło — Kaźmierz kipi jak czajnik na wolnym ogniu. — Nie o Jaśka pogrzebie ja myślał, tylko o twoim. Już tyle lat temu Jaśko ci obiecał, że czyjaś głowa spadnie, a sam wiesz, że u Pawlaków słowo droższe pieniędzy.

Kargul sapie niechętnie: znów ten konus mu nauki daje. A jeszcze wczoraj, gdy ustalali scenariusz wydarzeń, to obaj się czuli współnikami. Ostatecznie stanowią przecież rodzinę. Czeka ją na chrzciny Ania jest ich wspólną wnuczką. Wydawać się mogło, że więcej Kaźmierza łączy z sąsiadem niż z rodzonym bratem.

— Kiedy ty jemu, Kaźmierz, prawdę roztłumaczysz?

— Do prawdy jak do wesela, każdy musi dojrzeć — rzuca refleksyjnie Pawlak. — Ty miej tylko oczy szeroko otwarte, żeb' ty mi nie wszedł jak Piłat w credo.

— Nie boj się, ja w gotowości w sąsiedku będę siedział, jak my to umówili...

Pawlak kiwa potakująco głową, ale w tej chwili dostrzega Anielę, która wystawiła przez okno głowę w lokówkach, i mówi ostrzegawczo do Kargula:

— Ale żeb' twoja baba na widok za prędko nie wylazła, bo ona zawsze przed księdzem podniesienie robi.

— Taż ona nie kołowata. Każdemu zależy, żeb' w rodzinie Amerykańca mieć. Wszystkie wyjdziem gościa powitać, jak ty już jemu wszystko podrobno roztłumaczysz, żeb' żadnych teremedii nie było.

Pawlak kiwa głową jak wódz przyjmujący meldunek. Przylizuje włosy dłonią, nakłada na głowę nowy kapelusz, obciąga odruchowo marynarkę, omiata spojrzeniem podwórze Kargulów i widoczny stąd swój dom.

Podwórza były zamiecione, żółty piasek przykrył kurze łajno i słał się pod nogi niczym miękki dywan. Obejście było przygotowane jak na przyjazd kroniki filmowej: wszystko, co jeszcze przed tą niedzielą leżało w rogu podwórza — stare ramy od rowerów, puszki po konserwach, połamane rozwory od wozu, dziurawe miednice i obłupane z polewy garnki — wywieźli razem z Kargulem do starych kamieniołomów i wysypali do zalanych wodą wykrotów, nie bacząc na tablicę, zakazującą zwałki śmieci. Płot dzielący ich siedliska, dotąd pełen dziur i zardzewiałych gwoździ, teraz jaśniał świeżą sośniną sztachetek, które w ten upalny lipcowy dzień emanowały żywicznym zapachem. Umyte przez Marynię i Jadżkę szyby odbijały słońce; na pokrytym kwadratowymi płytkami dachu znać było jaśniejsze smugi zaprawy cementowej; świny, które zwykle gospodarowały pośrodku podwórza, miały od środy wykonany przez Witolda i Pawła wybieg za oborą. Obejścia Pawlaków i Karguli, niczym scena teatru, przygotowane były do odegrania premierowego spektaklu.

Tylko w kinie wypadki rozgrywają się tak, jak zostały nakręcone. Życie, zanim zasłuży na to, by je utrwalić w filmie, potrafi zaskoczyć i uczestników, i widzów.

W scenariuszu Kaźmierz Pawlaka przewidziany był udział taksówki — i oto przed bramą jego obejścia zjawia się czarna wołga z napisem „*Taksówka nr1*”. Jej kierowca, Tadeusz Budzyński, nazywany przez mieszkańców Rudnik i okolic „warszawiakiem”, zamiast wyszmelcowanej bluzy na cześć gościa z Ameryki włożył kraciastą marynarkę. Nie zrezygnował tylko z granatowego beretu. Nosił go w każdej porze roku, twierdził bowiem, że ktoś, kto prowadzi samochód bez nakrycia głowy, będzie z powodu przeciągów szybko łysy. Doświadczenie zawodowych kierowców utrwaliło w nim przekonanie, że kto łysieje, ten traci zainteresowanie dla kobiet, tego zaś „warszawiak” wyrzec się nie miał zamiaru. Tak więc wysiada ze swej wołgi w kraciastej marynarce i w berecie, spod którego w lipcowe południe ściekają wielkie krople potu. Ktoś, kto by widział, jak serdecznie pozdrawia z daleka machaniem ręki Pawlaka, nie uwierzyłby zapewne, że kiedy pierwszy raz spotkał Kaźmierz — wymierzył w jego pierś dubeltówkę. Było to wówczas, gdy Pawlak szukał nocą doktora lub położnej dla rodzącej Maryni, „warszawiak” zaś chciał zdobyć konia, żeby dowieźć pozyskanego w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym weterynarza: rzekomy weterynarz okazał się być pijanym młynarzem, ale kto miał wtedy głowę do takich szczegółów. Wystarczyło mieć dubeltówkę, żeby mieć argumenty, komu się należy i fachowiec, i koń. Ponieważ Kaźmierz miał wówczas karabin, więc przeważył dyskusję na swoją korzyść, ocalając konia i zyskując dla wsi młynarza. Ale „warszawiak” — zaprawiony w bojach w powstaniu warszawskim — nie zrezygnował łatwo ze swojej zdobyczy i w pewien czas później usiłował odbić młynarza Kokeszkę i porwać go jako łup dla innej wsi. A oto teraz

młynarz Kokeszko wraz z rodziną ma być gościem na chrzcinach wnuczki Pawlaka, a „warszawiak”, zamiast zgodnie z tradycją rodzinną uprawiać zawód taksjarza w stolicy, jest właścicielem jedynej w gminie taksówki.

—Zawsze lepiej być pierwszym w gminie niż ostatnim w stolicy — mawiał Budzyński, wożąc do kościoła wszystkie pary, które chciały mieć ślub na miarę nadchodzących lat sześćdziesiątych.

Budzyński obchodzi wołgę, rękawem marynarki wyciera z lakieru resztkę gołębiego łajna, które w ostatniej chwili ugarniowało jego taksówkę. Jedyne inwentarz, jaki „warszawiak” trzymał, to były właśnie gołębiebrajtszwance. Patrzy na zegarek i naciska klakson: jeśli ma przewieźć na stację całą delegację rodzinną, to będzie musiał dwa razy obracać. Nie ma co czekać.

— Czego on kury płoszy — ruga go Aniela Kargulowa. — Taż przez niego przestaną się nieść!

— Pani Kargulowa, jak macie jechać na stację po gościa z Ameryki, to nie ma co się na jedno jajko oglądać. Chyba żeby ono było złote!

— Jak powiedział? — wtrąca się do wymiany zdań Pawlak.

— Kargule na stacji potrzebne jak zajęcowi dzwonek.

Kargul wzdycha i kiwa potakująco głową: nie dla każdego na zegarku ta sama godzina.

— Myślałem, panie Pawlak, że jak on na chrzciny waszej wspólnej wnuczki przyjeżdża, to całą rodziną będziecie go witać.

— Aj, Bożeńciu — Pawlak wznosi ku niebu pełne zgrozy spojrzenie, przewidując przebieg takiego powitania. — Taż to by było tak, jakby kto gołego prosto w przerębél wygnał!

Kargul unosi kapelusz, przeczesuje widlastą łapą rzednące włosy i zwraca się do kierowcy jak do dziecka,

któremu trzeba przemówić do wyobraźni, by pojęło skomplikowaną naturę życia.

— Panie Budzyński, pan brał udział w powstaniu warszawskim, to pan wie, że jak się za wcześnie łeb zza barykady wystawi, tak może być po łbie.

— Ot, mądrego przyjemnie posłuchać — Pawlak klepie Kargula po ramieniu, zadowolony z jego postawy.

Klakson wywołuje na ganek delegację rodu Pawlaków. Pierwsza sunie sztywno Marynia w uroczystej taftowej sukni z białym kołnierzykiem, ozdobionym obfitym haftem. Oczy ma wytrzeszczone, bo szuka wzrokiem miejsca, gdzie ma postawić stopę w niewygodnym lakierku na obcasie, co zaraz zarył się w wysypane piachem podwórze. W rękę ściska lśniąca w słońcu plastikową torebkę, którą jako szczyt amerykańskiej mody pożyczyła od Bruzdowej, królowej bufetu w GS-ie. Marynia ubrana w nylonowe pończochy czuje się w ten upał jak kura w piekarniku.

Za nią pojawia się synowa z ufarbowanymi na siwo włosami, utapirowanymi tak kunsztownie, że wydaje się, jakby niosła na głowie miniaturę Pałacu Kultury i Nauki; kwiecistą sukienkę ma przepasaną lśniącym nylonowym paskiem, zegarek też się trzyma na nylonowej plecionce, a skarpetki na nogach też są oczywiście nylonowe. Żeby tak godnie wyglądać, musiała Jadźka pojechać aż do komisju we Wrocławiu. Przy każdym kroku w stronę wołgi Jadźka szeleści, bo pod sukienką ma halkę, także nylonową, która nie przepuszcza powietrza. Idzie właściwie tyłem, cały czas bowiem obserwuje męża, niosącego na rękach poduszkę, z maleńką Anią. Poduszka Ani też oczywiście ma powłoczkę nylonową, jak non-ironowa koszula Witolda. Mała śpi nie przypuszczając nawet, że jej chrzest będzie dla rodziny Pawlaków wielką próbą. A to właśnie jej ojciec wymyślił, żeby na tę okazję zaprosić gościa z Ameryki. Do 1956 roku

John Pawlak nie krył w listach obawy przed przyjazdem do kraju.

Nawet gdy nastał październik i władzę objął Władysław Gomułka — John nie kwapił się z przyjazdem. Kiedy Ania przyszła na świat, Witold napisał list do nie znanego sobie stryja, że będą czekać z chrzciniami na jego przybycie, bo on innego ojca chrzestnego dla swej pierworodnej córki, co nosi nazwisko Pawlaków, nawet sobie wyobrazić nie może. Do listu załączył zdjęcie ślubne, na którym stykały się czule ze sobą czoła jego i Jadźki. Wówczas nie miał jeszcze wąsików, które teraz zdobiły jego smagłą twarz.

Kaźmierz miał wąsy. Witold miał wąsiki. Ojciec miał do syna pretensje: „Wąsy obowiązkowo mają być jak u marszałka Piłsudskiego — mawiał, muskając swoje wiechcie. — A ty co, upstrzone masz pod nosem jak kiedyś ten Judasz Bierut”. Witold, choć nauczony był słuchać ojca, od czasu, jak raz złamał jego zakaz i zapatrzył się w Kargulową córkę, w sprawie wąsów nie ustąpił: „Jadźce się takie podobają”

— odpowiadał.

Muska teraz tymi wąsikami spocone czołko Ani, sam pocąc się w granatowym ubraniu z czystej wełny. Kiedy wciska się na tylne siedzenie — spada mu z głowy kapelusz, zakrywa twarz Ani. Mała zaczyna płakać. Jadźka wyrывa mu dziecko, Marynia czuje, jak obcas synowej drze jej pończochy. W rozgrzanym samochodzie zatyka oddechy zapach lakieru, na jakim trzyma się kunsztowna fryzura Jadźki. Pan Budzyński, zlany obficie spływającym spod beretu potem, już sadowi się za kierownicą. Zapuszcza silnik.

— A Kaźmierz gdzie? — denerwuje się Marynia, wytrzeszczając oczy. Pawlak daje jeszcze ostatnie taktyczne wskazówki Kargulowi i jego rodzinie. Zajmując miejsce obok kierowcy, ukradkiem robi znak krzyża, jak przed

podróżą w nieznane. Skinieniem głowy daje kierowcy znak, że mogą ruszać. W tej chwili dopada jeszcze taksówki Pawełek i wciska się na tylne siedzenie, wnosząc swojski zapach rozdeptanego po drodze kurzego łajna.

Kargul stoi na podwórzu i patrzy za oddalającą się wołgą.

— Ciekawość, jaki on prezent przywiezie na chrzciny naszej wnusi — mówi Anieli z babską pożądlivością.

— Żeb' on wiedział, że to nasza wspólna wnusia, to on by jej muchomora zadał, a nie prezenty przywoził — dudni Kargul.

Dostrzega kosę opartą o ścianę stodoły. Na wszelki wypadek, jakby tknięty jakimś złym przeczuciem, chowa ją za wierzeje stodoły.

### 3

Taksówka rusza spod bramy obejścia Pawlaków. Kiedy sunie w zalewającym świat lipcowym upale ulicą wsi Rudniki, zza otwartych okien, zza płotów i bram odprowadzają wołgę spojrzenia mieszkańców wsi. Dla wszystkich przyjazd gościa z Ameryki jest niewątpliwie wydarzeniem ważniejszym od znalezienia w sklepie GS-u w sztok pijanego złodzieja, który leżał wśród opróżnionych butelek wina w towarzystwie równie pijanego stróża nocnego.

Pawlak w obroży kołnierzyka non-ironowej koszuli siedzi sztywny, spocony i napięty. Buła krawata, który na jego życzenie zawiązał mu Pawełek, ściska mu grdykę, tak że przełyka ślinę, jak tuczona gęś przełyka kluski. Upał jest tak wielki, że w taksówce nie ma czym oddychać, ale Budzyński nie pozwolił otwierać okien, żeby mu ucha nie zawiało.

Ujechali może kilometr, kiedy na wysokości olszynowego zagajnika silnik wołgi prychnął trzy razy niczym kot pojony szampanem. Coś wstrząsnęło samochodem, zarzęziło pod maską. Wóz toczy się kilkanaście metrów siłą rozpędu, a w oczach „warszawiaka” pojawia się bezdenne zaskoczenie. Stoją na skraju łąki, ściśnięci jak sardynki w pudełku. Budzyński daremnie przekręca kluczyk w stacyjce. Starter rzęzi, prawa noga kierowcy naciska pedał gazu, ale silnik ani rusz nie chce zaskoczyć. Kaźmierz nerwowo spogląda na kierowcę, który rozpaczliwie ściska kierownicę.

- Ki czort? Taż miał maszynę narychtować.
- Wczoraj przeglądałem, panie Pawlak.

— To pewnie gaźnik — Pawełek, który wszystko umie naprawić, nawet ze starej łuski przeciwlotniczego pocisku potrafi zmajstrować zapalniczkę, czuje się w prawie służyć radą. — Trzeba żychlerek przedmuchać. Pan otworzy maskę...

— Sam pojedzie — upiera się Budzyński, urażony w swojej zawodowej ambicji. — To ruska marka, wszystko co ruskie gniotsia nie lamiotsia.

— Niech no mnie pan Budzyński za ruskimi nie agituje, bo mnie raz-dwa szlag może trafić i rodzzonego brata w osobistej swej postaci nie zobaczę...

— Spóźnim się, Kaźmierz — Marynia wierci się, ściśnięta między synem a synową.

Pawlak rusza wąsikami jak zawsze, kiedy coś idzie nie po jego myśli. Wyciąga z kieszeni kamizelki cebulasty zegarek na dewizce i piorunuje wzrokiem kierowcę.

— Żeb' jego wilcy z tą ruską techniką — chowa zegarek i podejmuje decyzję: — Do czorta z taką jazdą. Wysiadać! Na skróty dawaj!

Nie oglądając się na resztę rodzinnej delegacji, Pawlak ostro rusza przez podmokłą łąkę ku widocznej za nasypem stacji kolejowej. Przebiera żwawo krótkimi nogami, jedną ręką przytrzymując kapelusz, a drugą ocierając wierzchem dłoni pot z czoła. Za nim rzędem, niczym pochód gęsi, rusza rodzina. Szpilki Jadźki zapadają się w podmokłą darń. Oddaje poduszkę z Anią mężowi, sama jednym ruchem ściąga z nóg pantofle, potem pończochy i kłapiąc bosą stopą o trawę, rusza w ślad za teściem.

Pawlak czuje, jak nogi mu grzęzną w podmokłym dywanie łąki.

— Ot, pomorek — mruczy do siebie i ogląda się z wściekłością na drogę, gdzie pod uniesioną maskę wołgi nurkuje „warszawiak”. — Koniem by na czas przykołdybał sia!

Chciał koniem po Jaśka wyjechać: niechby poczuł się swojsko, jak w czasach, kiedy do Trembowli ich ojciec wioził na jarmark kopę jaj; przecież Jaśko sam pisał, że w takim Chicago konia to można tylko w muzeum przyrodniczym obejrzeć i w kinie. Miałby więc na samym wstępie dowód, że jednak Polska ma pewną przewagę nad Ameryką, bo tu wystarczy w niedzielę na sumę się wybrać, żeby zobaczyć zaprzęgnięte do wozów i kare, i siwki. A swojego kasztana Kaźmierz nie musiał się wstydzić. Ale zakrzyczeli go wszyscy, że marnie wypadną w oczach gościa, jeśli go samochodem nie przywiozą. A teraz masz: samochód stoi jak trzeźwy na weselu, ani z niego pożytku, ani szyku, a on musi brnąć na skróty i własnymi nogami nadrabiać braki radzieckiej techniki.

— Kaźmierz! — dobiega go wołanie Maryni, która stawiając wysoko niczym bocian nogi kroczy w ślad za nim.  
— Nogawki portków podwiń, bo tam podmokło.

— Ale my przez tę taksówkę w kałabanię wpadli — sapie Kaźmierz podwijając nogawki. — A mówiłem, że mogli my w konia wyjechać.

— Eeee, tato gada jak niedzisiejszy — sprzeciwia się Witold, taszcząc śpiącą w beciku córeczkę. — Jakże to, po Amerykańca furmanką?

— Najsampierw on Pawlak, a dopiero potem Amerykaniec — poucza go Kaźmierz.

W tym momencie słyszą przeciągły gwizd lokomotywy. Nad linią zielonych bzów, majaczących w oddali za łąką, ukazuje się pióropusz dymu. Wszyscy przyspieszają, jakby ktoś puścił szybciej taśmę filmową: Pawlak, podwinąwszy nogawki, tak przebiera nogami, że prawie fruwa nad łąką, gestami nakłaniając pozostałą część rodziny do wyścigu z nadjeżdżającym pociągiem.

Z drogi „warszawiak” widzi tyralierę Pawlaków na łące. Załamany zdziera z głowy beret i rzuca go w przydrożny

o set.

## 4

Ostatnia wielka w życiu podróż to nieunikniony powrót do czasów dzieciństwa. Nie jedziesz, by spotkać nowych ludzi, odkryć nowe pejzaże: jedziesz, by spotkać się z sobą samym — takim, jakim pamiętają cię bliscy z tamtych dziecinnych lat.

Stoi na zalanym słońcem peronie, patrząc w ślad za oddalającym się ostatnim wagonem. Rozgrzane upałem szyny wydają się falować w powietrzu. Rozgląda się naokoło: czerwony, schludny budynek stacyjki Rudniki zupełnie mu nie przypomina stacji w Trembowli. Wokół żywopłot bżów, dalej szare dachy wsi. Więc tu jechał na spotkanie swojej młodości. Przebył morza, by załatwić ostatnią ważną sprawę życia. A tą sprawą nie jest bynajmniej chrzest wnuczki jego brata...

Stoi obok stosu bagaży, złożonych na końcu peronu. Na głowie ma słomkowy kapelusz z barwną wstążką. Twarz sucha, wygolona, pod grdyką muszka na gumce. Kraciasta marynarka z płótna gryzie się z fioletowymi spodniami, ale najbardziej rzucają się w oczy jego sztuczne szczęki, które odsłania w szerokim uśmiechu na widok wbiegającej na peron grupy.

Kaźmierz, ujrawszy samotną postać na peronie, przysłania oczy dłonią i sapie, zmęczony po biegu:

— Oj, chyba że to on.

Chce ruszyć ku przyjezdnemu, ale słyszy za plecami szept Maryni:

— Kaźmierz, nogawki...

Podwinięte nad kostki nogawki jeszcze bardziej skracają postać Pawlaka. Przykryty kapeluszem przypomina teraz wyglądający z mchu grzyb. Nie spuszczać oczu z uśmiechającego się niepewnie mężczyzny, odwija nogawki, podskakując na jednej nodze, wierzchem dłoni ociera pot ciekący po skroniach spod kapelusza i rusza powoli ku przybyszowi. Za nim tyralierą posuwa się reszta delegacji. Na dwa kroki przed przyjezdnym zatrzymuje się. Patrzy na brata, a twarz mu drga, jakby walczył ze sobą, czy ma się śmiać z radości, czy też z radości płakać.

I tak oto stoi naprzeciw siebie dwóch Pawlaków.

Jeden jest stąd, a drugi stamtąd.

Jeden jest Kaźmierz — a drugi John.

Pierwszy wyszedł witać drugiego i nie wie o tym, że ten drugi właściwie przyjechał się żegnać.

Przyjezdny uchyla konwencjonalnym gestem słomkowego kapelusza, odsłaniając na moment opaloną łysinę.

— Jestem John Pawlak — mówi twardą, obco brzmiącą polszczyzną. — Czy ty mój brat?

— Tak, to ja — rzuca w odpowiedzi Kaźmierz, a choć stara się być spokojny, to broda mu drży, a grdyka w obręczy kołnierzyka wędruje w górę i w dół. Stoją tak przez chwilę, jakby rozdzielała ich jakaś niewidoczna bariera. Patrzą na siebie z odległości kilku metrów, jakby każdy z nich chciał się najpierw oswoić z tym, że żaden nie odpowiada obrazowi, jaki każdy z nich stworzył w swojej wyobraźni. Widzieli się ostatni raz, kiedy jeszcze wszystko było przed nimi. Kiedy Marynia nie była żoną Kaźmierza, a Jaśko nie marzył nawet, że będzie miał kiedyś plastikowe zęby, piękniejsze niż prawdziwe. Może to te nieskazitelnie białe zęby onieśmieliły z początku Kaźmierza? Może ten słomkowy kapelusz, jaki przed wojną nosił notariusz w Trembowli? Albo ten aparat fotograficzny na szyi? Kaźmierz